№ 27. Warszawa, dnia (24 Czerwca) 7 Lipca 1900 roku. Rok XLII.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

Pismo Illustrowane dla Kobiet

PRENUMERATA WYNOSI:

w Warszawie:	Z przesyłką pocztową:
kwartalnie . . . rs. 1	kwartalnie . . rs. 1.25
Za odnoszenie do domu kop. 10.	półrocznie . . „ 2.50
	rocznie . . . „ 5.—

Rękopisów mniejszych Redakcya autorom nie zwraca.

ZA GRANICĄ: We Lwowie i Krakowie: Kwartalnie flor. 1.80. Na prowincyi flor. 2.20. W Poznaniu kwartalnie mr. 3, na prowincyi mr. 3.75. W innych państwach związku pocztowego kwartalnie rs. 1 kop. 60, lub walutą zagraniczną podług kursu.
Agencye główne na Galicyę: we Lwowie Agencya dzienników i inseratów St. Sokołowskiego Pasaż Hausmana l. 9; w Krakowie Księgarnia S. A. Krzyżanowskiego. Agencya główna na Niemcy Księgarnia Świętego Wojciecha w Poznaniu.

CENA OGŁOSZEŃ: Za wiersz petitu jednoszpaltowy lub jego miejsce kop. 12 „Nadesłane" wiersz garmontu kop. 50. Ogłoszenia przyjmuje Administracya pisma i wszystkie biura ogłoszeń warszawskie i znaczniejsze zagranicą. Zmiana adresu kop. 15.

Adres Redakcyi i Administracyi:
Warszawa, Chmielna 26.—Telefon 106.

JULIUSZ ZEYER.

Na pograniczu obcych światów.

przełożył MIRIAM.

(Dalszy ciąg).

Szelest wietrzyka umilkł. Utkwiłem wzrok w słabo migotliwym blasku białawej gwiazdy—i wkrótce zdało mi się, że srebrny zmrok, spływający z niej, otacza mnie dokoła. Okolica znikła mi z oczu, i zdało mi się, że słyszę poszum dąbrów potężnych. Z szumem tym mieszały się jak gdyby strunne dźwięki, a smutny głos, głos Chiomary, śpiewał pieśń barbarzyńską, przeciągłą, jednostajną, jak łoskoty potoku. Treść jej podać bardzo nie łatwo; rozumiałem pieśń, jak rozumimy melodyę bez słów, i pamiętam dziwny ten śpiew tylko tak, jak pamiętamy pierzchły sen, którego wizye jeszcze przed wnętrznem naszem okiem wyraziście falują, ale materyalnem słowem z wielką trudnością zobrazować się dają. Spróbuję jednak oddać, według możności wszystko, co w wyroczny ten wieczór słyszałem, lub raczej czułem. Śpiew Chiomary brzmiał tedy mniej więcej tak:

„O ogrodzie bohatera Maelguna, jakiż pusty jesteś! Gdzie sława twoja? Gdzie godownicy napełniający śmiechem i śpiewem twe sale? Biada! pochodnie gorejące przy godach Maelguna rozniecił stosy płomienne dla bohatera i jego gości! Popiół ich leci przez zwichrzone powietrze nad martwą równiną! O ogrodzie bohatera Maelguna, jakiżeś pusty! Nie pozostało z komnat twych nic, prócz wychłodłych kamieni wygasłego ogniska, pośród bujnej gęstwy traw i bodiaków! Stropem twym są czarne niebiosa nocne bez gwiazd, a przerażająca cisza śmierci mieszka w zwaliskach twych! Promień słoneczny pada na zczerniałe mury twych ruin, ty uśmiechasz się, ale uśmiech ten jest gorzki i posępny, rozdziera serce i budzi smutek, jak dziki ryhot wzburzonego morza, gdy w okrutnej igraszce korabie swe o skaliska miażdży wybrzeżne...

O Maelgunie, bohaterze potężny! Ilekroć zabrzmi żałobny śpiew o twej śmierci, ilekroć zabrzmi pieśń o srogiej zemście pięknej Chiomary, zawsze zapłacze twój lud, zasmucą się lica drzew, westchnie żałośnie każdy junak dobry!

Cudną jak wiosna była Chiomara, ale pomsta jej buchnęła zgubnie jak pożar, na pustej górze w suchym gąszczu powstały, który płomienne swe fale na ciche bory i na złote na równinach rozlewa pola. Chiomara twoją była kapłanką, biała bogini, wielebna Korydweno! Chwała tobie, sława tobie, władczyni świętej nocy, z której powstał świat. Tyś córą boga najwyższego, boga Esa groźnego, tyś dostojna, tyś święta—chwałą tobie! Dziewięć dziew czystych poświęcono służbie twojej, w usta ich kładziesz swe wieszczby, ręce ich spełniają twoje cuda! Pośród wściekłych fal bezbrzeżnego morza, na wyspie granitowej jest ich siedziba, jest świątynia twoja. Chiomara, córa druidów jest jedną z nich—Chiomara złotowłosa, jasnooka, cudna jak wiosna!..

Czarną chmurą osłania krwawy miesiąc gorejącą twarz swoją. Rozszalała wichura zbrużdża głęboko wszystkochłonące morze. Biała piana fal tryska w górę aż ku szczytowi tajemniczej wyspy. Hej! cóż to kołysze się niby listek zerwany, na ciemnych wód toniach? To łódź! Potężną ramion siłą wiedzie ją Sinat przez burzę, przez morze. Nie drga mu serce trwogą nikczemną. Ramię jego silne, jak oszczep zwycięzkiego bohatera, ale w piersi jego się kryje słodki śpiewu dar. Cóż Sinatowi miecz, cóż oszczep, cóż rumak wojenny? On syn bardów miłujących słoneczne gajów tęsknoty i wielką mowę głębokiego borów milczenia. Czego szuka tu Sinat śród walki żywiołów? Podniósł głowę do góry, oko jego patrzy na krwawe ognie na wyspie, których ulewy zgasić nie mogą. Czarne cienie wieszczek przesuwają się tajemniczo dokoła płonących stosów. Włosy ich wieją śród pomroki nocnej, ręce ich rozmachują przy blasku gromów pochodniami smolnemi, a wykrzyki tłumione odpowiadają na grzmotów rozhuki. Pod osłoną nocy wystąpi Sinat na brzeg pustynny. Krok jego lekki jak skok jelenia na omszonej lasów ziemi, a dumny jako krok rumaka, spinającego się pod ciężarem bohatera zwycięzcy. Wkroczy Sinat w koło wieszczek. Na głosu jego dźwięk, powstrzyma się obrzędny ich tan. Staną nieruchome jak głazy, które druidów ręka pod cieniem świętych dębów bogom na cześć kładzie. A Sinat głosem woła srebrnodźwięcznym: „Na święte imię wielkiej bogini, potrzykroć świętej Korydweny, wy, jej kapłanki, wieszczby świętej mi nie odmówcie!" I padłszy na twarz przed piękną Chiomarą, chwyta się ręką czarnych jej zasłon, zasłon gęstych jak mgła nocy zimowej. Nieporuszona stoi cudna Chiomara, ale drużki jej powłóczystym odchodzą krokiem, rozmachując krwawem światłem ponad głowami, a ponury ich śpiew, jak skrzek ptaków drapieżnych, w nocnej świszczy pomroce. W piersi twardej skały dziesięć grot wyrytych zieje, tam nikną drużki cudnej Chiomary. Sinat wznosi ręce w górę—i fala dźwięków z ust mu płynie.

— O dziewo, Korydwenie poświęcona—woła, wijąc się u nóg kapłanki — popatrz na mnie litośnie! Na owe gwiazdy niebieskie, które teraz czerń chmur zakryła, na lazur niebokręgu, który po skończonej burzy znowu z uśmiechem w gładkiej toni morskiej przeglądać się będzie, na święte blaski słoneczne, na bogów jasnych, na biesów mieszkających w pomroce ziejącej otchłani, nakłoń ucha mej prośbie. Wysłuchaj mnie—miażdżącej męki mej straszliwe poznaj brzemię... Był ranek

rosisty, woniami dyszący, w dobie kwietnej wiosny. Z różanych chmurek wschodziło słońce. Odpoczywałem nad brzegiem świętego druidom źródełka. Jasne jego wody toczą się pluszcząc z siwych głazu złomów na miękkie mchy leśne. Dziesięć świętych dębów otacza je i sklepi szmerną strzechę nad płynącem chłodnej wody srebrem. Przez cześć dla poświętnej fali odstępują drzewa daleko od koryta, które ku dalekiej równinie pluskający ponik w trawie sobie wyżłobił. Wzdłuż krętego biegu jego leci wzrok mój w dal. Oto śród gałęzi błysł mi nagle wóz. Po bujnej trawie chwiejnie się wlecze. Dwa śnieżnobiałe tury są jego sprzężajem. W szacie fałdzistej stoi starzec na wozie, kierując krokiem turów. Broda, jak mleko, spływa mu do pasa, głowę latorośl wieńczy mu dębowa. Ku niemu wznosi twarz dziewa gwiezdnej krasy. Nad głową jej, niby połyskliwy kłąb śniegu, stado młodych ulata ptasząt, a łagodny szczebiot ich pieśni serce w piersiach rozgrzewa...

Hej! oto stanął wóz pośród kwietnej trawy, i modre kwiecia dzwonki chylą się przed krokami cudnej dziewy, która zeskoczywszy z wozu, do mojej zbliża się kryjówki. Potężny pień przed jej błękitnemi zasłania mnie oczyma. Stoi dziewa cicho, i jak słońce, w gładkiej przegląda się toni. Złote włosy liśćmi sobie przeplata dębowymi, złotym je z gałęzi zdejmując sierpem, którym córy druidów święte w dąbrowach obierają jemioły. Zielone cienie i złote słońca błyski całują w zawody łabędzią jej szyję i cudnie kształtne ramiona, złotymi zdobne naramiennikami, a jasne rosy kapią, niby radosne łzy drzew poświętnych, na falistą jaśń rozpuszczonych jej włosów. Teraz przechyla rozkoszne ciało nad okrajem źródełka i zbiera jasną wodę w święcone naczynie. Wzrok mój tkwi jak zaczarowany na cudnej jej krasie, nurza się w błękitach jej oka — i stoję nieruchomo jak pień drzewa, który mnie zasłania. Pierś moja wzdyma się, i głębokie westchnienie rozrywa niemotę mych ust. Mocną ręką łamię krzewy, ujmujące w pieszczotliwe objęcia omszony pień dębu, i wynurzam się z gęstwy przed dziewą strwożoną. I ona patrzy na mnie niemo, bez ruchu! Spuszcza oczy. Obłok purpurowy leci jej przez twarz...

Wtem rozbrzmiewa wołanie starca: „Chiomaro! Chiomaro!" A lasy naokół wielkim odpowiadają chórem: „Chiomaro! Chiomaro!" — a ranny wietrzyk, doumierając w dali na równinie, szepcze raz jeszcze: „Chiomaro!" Jak łania, odpoczywająca w drzew cienistych gęstwinie, zrywa się na okrzyk łowca i na psów szczek morderczy, tak porwała się przerażona Chiomara — i miga już oto, niby widmo czarowne, między drzewami... Starzec ubodzie białe tury, i znika wóz, a na nim Chiomara... Patrz, kapłanko, oko moje śmiało się zawsze jako niebo wiosenne, a teraz od długiego zczerwieniało płaczu. Serce me było spokojne, niby lśniąca toń jeziora, w której przegląda się wieczornica, było szczęsne jako barwna łąka letnia, na której kwiaty się rodzą...

(Dalszy ciąg nastąpi).

Z chwili.

Nieszczególnie trafiła wystawa paryzka—to przyznają już dzisiaj wszyscy, nie wyjmując nawet francuzów samych.

Mieli oni nadzieję skoncentrowania na to dzieło pokoju uwagi całego cywilizowanego świata, a doczekali się, jak gdyby na przekorę, likwidacyi długo tłumionych powikłań na południu Afryki i Azyi — likwidacyi, która dzisiaj odbiera już odwagę nawet zawodowym zażegnywaczom przesileń i konfliktów międzynarodowych.

Anglia traktowała sobie zrazu sprawę Transwaalską, jako jeden marsz tryumfalny małego jakiegoś korpusiku ekspedycyjnego, a dziś po kilku miesiącach wielkich wysiłków, po wysłaniu na daleką wyprawę 200-tu tysięcy żołnierza, po rozsypaniu na ten cel gór złota i znacznych ofiarach w ludziach, nie jest bynajmniej u końca działań wojennych, a nawet przewidzieć nie może, kiedy i jak zakończy się ten rzekomy marsz tryumfalny. Pogorsza położenie to, że siły rozstrzeliwać przychodzi na inny punkt ciężko zagrożony, w którym żywotniejsze bodaj interesa angielskie, niż w Południowej Afryce, są zaangażowane.

Tym punktem są Chiny, te Chiny z ich bytem odwiecznym, zakrzepłą kulturą i przerażającem zaludnieniem dzisiejszem — Chiny przedmiot pożądliwości jednych, a widmo trwożnych przewidywań tych wszystkich, którzy na zalew europejskiego świata przez rasę żółtą, jako na nieuniknioną w przyszłości konsekwencyę, zapatrują się oddawna.

Dziś padła już iskra na prochy, dziś wre tam już walka, a jakkolwiek przy naszych pojęciach dzisiejszych o rozmiarach stare zbrojnych, siły tymczasowo użyte obustronnie do akcyi wojennej wydają się śmiesznie małemi, nikt nie zdoła przewidzieć jaką potęgę rozwinąć może ta bryła martwa, ten kolos stojący na nogach glinianych, który co prawda w ostatniej swojej rozprawie z sąsiednią Japonią ujawnił minimalną wartość organizacyi militarnej, i samej nawet sprawności, jaką przedstawia chińczyk dzisiejszy, jako surowy materyał wojenny.

Tak mówili rzeczoznawcy w epoce chińsko-japońskiej wojny, tak mówi dzisiaj jeszcze wielu ludzi, jakkolwiek nie brak i takich, którzy obznajmieni ze stanem rzeczy na miejscu, dalekimi są od bagatelizowania stopnia niebezpieczeństwa, na jakie zjednoczone nawet wpływy europejskie są tym razem narażone.

To co wśród tych sprzecznych wersyi wydaje się bliższem prawdy, to jest, że armia chińska cierpi na brak jedności, że są tam wojska mandżurskie, prowincyonalne, nieregularne, a całość ich liczebna podawana przez chińczyków samych, wymagałaby koniecznie potwierdzenia. Malwersacye, przeniewierstwa proste i nieproste dowódców utrudniają, a nawet uniemożebniają podobno ten rachunek. Niejednolitości plemiennej części składowych tej armii odpowiada zupełnie różnorodność jej organizacyi. Od halabard, łuków, broni palnej skałkowej przed laty sześćdziesięciu używanej w Europie, aż do karabinów Mausera i artyleryi ostatniego systemu—wszystko tam znaleźć dzisiaj można. Wprawdzie korpusów zaopatrzonych w oręż ostatnich ulepszeń jest niewiele, ale te części armii, które wyszły z pod ręki organizatorów wojennych niemieckich nie pozostawiają podobno nic do życzenia. Nadto jeden z tych instruktorów ogłosił już po wybuchu wojny artykuł, który wiele dał do myślenia sferom wojskowym mocarstw europejskich, zaangażowanych w świeżo wybuchłem starciu. Utrzymuje on, że wszyscy znający chińczyków z tych kilkuset indywiduów, których się spotyka w stolicach naszych, wyrobili sobie bardzo przesadne o ociężałości chińczyka pojęcie, i o jego kwalifikacyach żołnierskich. Wprost przeciwnie ma być, wedle tego co mówi ów oficer niemiecki—żołnierz chiński potrzebuje tylko umiejętnej ręki instruktora, aby dorównał europejskiemu, a nawet prześcignął go w krótkim czasie.

Wszystko co dotąd podaje dziennikarstwo zarówno o akcyi wojennej, jak o samej przyczynie starcia i wogóle o naturze tego ruchu, powinno być przyjmowane z wszelkiemi zastrzeżeniami, bo w gruncie rzeczy wie o tem Europa bardzo mało. Telegramy donoszące o rezultatach stoczonych bitw bałamutne są jakieś a nawet sprzeczne zupełnie; losy dwutysięcznej kolumny ekspedycyjnej pod dowództwem admirała Seymoura dotąd niewiadome. Europa robi co do tych sił domysły, jak się zdaje, na niczem nie ufundowane, a Chińczycy powiadają, że korpusik ten już nie istnieje. Tientsin, a raczej jego dzielnica europejska obleganą jest przez chińczyków; piszą o odsieczy, która ma zdeblokować tę dzielnicę, ale niewiadomo, azali ta odsiecz nadeszła lub nadchodzi, ani czy się ludność europejska trzyma dotąd. Wszystko wymaga potwierdzenia. W Pekinie poselstwa europejskie istnieją jeszcze, jak donosiły depesze ostatnie.

To samo właśnie co do źródeł, z których wyszła akcya wojenna i co do żywiołów, jakie w niej biorą udział. Władza naczelna, albo bezwładna jest wobec ruchu powstańczego, skierowanego przeciw Europie, albo trzymająca skrycie z tym ruchem. Depesze z ostatnich dni Czerwca zapewniają, iż rozkaz wytępienia w Chinach cudzoziemców wyszedł od cesarzowej wdowy, a oblężeniem dzielnicy europejskiej w Tientsinie kieruje książę Mandżurski Tuan.

Podobno—gdyż ciągle używać musimy tego wyrazu —przyczyną wybuchu bez względu na to czy wyszedł on ze sfer rządzących, czy też z głębi narodu, są długo gromadzone niechęci przeciw Anglii. Bynajmniej nie wynikł ruch ten ze źródeł fanatyzmu religijnego, jak utrzymują niektórzy, a wprost z pobudek natury ekonomicznej. Cały przemysł Chin redukował się dotąd do wytwórczości domowej; fabryki i wielkie przedsiębiorstwa przemysłowe były w tym kraju nieznane. W ostatnich dopiero czasach wielki kapitał, rozumie się angielski, wtargnął tutaj i właśnie olbrzymie zakłady fabryczne powstające tam, zdołały już zrujnować setki tysięcy pracowników, którzy oczywiście wobec produkcyi maszynowej ostać się ze swoją wytwórczością nie mogą. Podniętą dla tych do rozpaczy dopro-

wadzonych ofiar ekonomicznego przewrotu była wieść, jakoby sama cesarzowa wrogo była usposobiona przeciw cudzoziemcom.

Jak w istocie mają się rzeczy, przyszłość jedna chyba okaże, bo dotąd nic pozytywnego w tej sprawie nie doszło nas przez dzienniki. Łatwo jest w każdym razie zrozumieć, że bierna apatya wobec nadchodzącej śmierci głodowej, jestto czynnik, na który nie zawsze rachować można, zwłaszcza przy liczbie poruszonych umysłów i zainteresowanych warstw ludności chińskiej. Mówią o kilkunastu milionach tych gotowych do wybuchu malkontentów, których tam nazywają „bokserami.“ Kim oni są, jaka ich liczba, jakie środki, jaka gotowość bojowa—niewiadomo, to domyślnem tylko jest, że prawa wyboru między powolnym a jednorazowym rodzajem śmierci nie mają ci ludzie, i że takich jest wiele, bardzo wiele milionów.

Pora też to dla akcyi wojennej żołnierza europejskiego bardzo nieprzyjazna. Chiny wogóle są nietylko niezbadane, ale są one w ścisłem znaczeniu słowa tem, co się terminem *terra incognita* oznaczać zwykło. Wiadomo wszakże ze źródeł podróżników wiarogodnych, że w Czerwcu i Lipcu panują tam upały 40 stopniowe, że klimat jest dla ludzi naszych stref wprost nie do zniesienia, i dzięki tym właściwościom i liczbie swojej Chiny są nieprzyjacielem bardzo poważnym. Pekin naprzykład ma mieć wodę do picia, która dla Europejczyka jest wprost zabójczą, i dlatego obcy używają tam tylko wód mineralnych. Jak tu zapewnić armii czynnej dostatek takiej wody i jak niesłychanie taki jeden szkopuł chociażby utrudniać może operacye wojenne!

R.

Zapomniana poetka polska

z wieku XVIII-go.

(Dalszy ciąg).

Z chrześcijańską rezygnacyą przyjmuje poetka konieczność umierania; z ewangielicznem, łagodnem napomnieniem, innym ją zwiastuje. Tę rezygnacyę i to tkliwe kaznodziejstwo znajdziemy w dwóch poniższych utworach, które, mimo formy niedoskonałej, stawiam wyżej od ascetycznej zaciekłości Drużbackiej.

Pod Osobą bardzo sędziwą.

Łamią ręce stuletnie twe, sędziwe lata.
Że w pięknej twej młodości wielka alternata.
Żyłeś w młodym swym wieku, jak kwiat w maju [kwitnie,
Rozumiałeś podobno, że nigdy nie zniknie.
Teraz, kiedy przychodzisz do mety swej końca,
I wyglądasz z bojaźnią śmierci swojej gońca,
Strwożysz się, gdy obliczem wnet przed Panem [staniesz,
Co za profit z długiego życia tam dostaniesz?
Pracowałeś na honor, o fortunieś radził,
Niejednemuś zazdrościł i w swem życiu wadził;
Więc z młodych lat pamiętać na koniec ten trzeba:
To gościniec każdemu gotuje do nieba.

W drugim utworze morał brzmi jeszcze łagodniej:

Pod Osobą starą, struchlałą i pokutującą.

Przy sędziwych twych latach czas wieku przy- [chodzi,
Gdzie, z wyroku Boskiego, śmierć na ciebie godzi.
Trwożysz się, że twój młody wiek upłynął miły,
Teraz wzdychasz i myślisz jakie dni twe były.
Rachujesz się z sumieniem: w czemeś się zadłużył,
Czyli Bogu, czy światu więcej w życiu służył?
I to szczęście, że masz czas wzdychać i żałować,
Lub, kto umie i zgrzeszyć, umie pokutować,
Jak to ludzie, gdy zgrzeszą, „to po ludzku“ mówią;
Ale którzy sumienni, inaczej rozumią.
Że jak złodziej śmierć chodzi, nikt nie wie go- [dziny,
Więc z młodych lat opłakuj, człecze, swoje winy:
Bo to ten świat subtelny jest zdrajca od wieka,
Niejednego oszukał na świecie człowieka.

Słówko o języku Niemiryczowej.

Ubogi jest ten język w barwę i melodyjność, jest jednak szczerze polski i przypomina pisarzów (drugorzędnych zresztą) okresu Zygmuntowskiego. Brak mu plastyczności, którą celuje język Drużbackiej, na ogół wszakże uważać go można za czyściejszy od tego ostatniego. Spotykają się i u Niemiryczowej wyrazy, wzięte z ówczesnej gwary towarzyskiej i książkowej („profit,“ „importun,“ „kontenteca“ — ostatni, często używany przez Kochowskiego Wespazyana i Potockiego Wacława), ale jest ich znacznie mniej, niż u autorki „Fabuły o księciu Adolfie.“

Poetka, przejrzawszy rzeczy tego świata chłodnym wzrokiem filozofki chrześcijańskiej, kończy, na czem skończyć musiała: na modlitwie. Spotyka się na tym punkcie z Drużbacką, tem się jednak od niej różni, że modlitwa jej jest głośna i poetyczna. Jak już wyżej wspomniałem, Niemiryczowa modliła się—pieśniami.

Utwory jej w tym rodzaju są tak czyste i religijne, że mogłyby zająć miejsce w modlitewnikach. Wskazuje im tam drogę przedewszystkiem wielka prostota wysłowienia. Pod tym względem poetka jest bliższa Karpińskiego, niż Kochanowskiego.

Modlitwy Niemiryczowej, tak samo jak Karpińskiego „Pieśń poranna“ i „Pieśń wieczorna,“ mogłyby być odmawiane ze zrozumieniem nawet pod strzechą wieśniaczą.

Bardzo znamienne są w tym oddziale jej poetyckie „inwokacye.“ Podczas, gdy powszechnie panujący zwyczaj każe wołać o natchnienie do Muz i Apollina, ona z tem wołaniem zwraca się do Ducha Świętego i Matki Bożej.

Duchu Święty, przybywaj i daj to natchnienie,
Żeby koncept, myśl, serce i me rozumienie
Dobre były, prawdziwe i tak doskonałe,
By Stwórca ze stworzenia swojego miał chwałę.
Niechaj piszę, co z Twego natchnienia przypadnie,
A ztąd honor Twej łaski otrzymam już snadnie
Jak doczesny, tak wieczny. W pomoc Ciebie [wzywam,
Bo bez Ciebie dobrego nic w życiu nie miewam.
. . . .

Panno śliczna i Matko, Rodzicielko Syna!
Bądźże w moim koncepcie pociecha jedyna.
Rządź rozumem i sercem i piórem w mej ręce.
Sen mój, duszę i ciało w Twe Panieńskie ręce
Poruczam, Pani świata! Przez krew Syna Twego
Nie wypuszczaj z opieki mnie, stworzenia Jego.
Pokaż cud miłosierdzia i zbaw duszę moję,
Niech w ostatnim momencie pewną mam ostoję.

W modlitwach niema nic sztucznego, przesadnego, coby pozwalało podejrzewać, że były tworzone na zimno. Znać owszem, że jak westchnienie z przepełnionej piersi, wyrywały się z serca przepełnionego.

Oto kilka tych modlitw:

Przy Zwierciedle, do Jezusa Ukrzyżowanego, przy którym Śmierć i Czas.

Śmierć Twoja — Życie moje—Rany Twoje — Zbawienie moje.

Niech się przezieram w ranach Twoich, Panie,
I niech co moment serdeczne wzdychanie
Mam za swe grzechy. Niech się łzami myję,
W ranach Twych, Jezu, umieram i żyję.

Przy kwiatkach do stroju, pod N. P. Maryą Pocieszenia.

Maryjo, Panno i Matko Jezusa!
Na ręce prawej trzymając Chrystusa,
Westchnijże za mną, mój najmilszy kwiecie,
Niech żyję w Bogu, na mizernym świecie.

Pod Opatrznością Boską.

Któż pojmie Boskiej Opatrzności dzieła *)
Które wszechmocna ręka nam sprawiła?
Stąd ludzki naród wszystko bierze w czasie,
Zwierzęta, ptactwo stąd hojnie się pasie.
Miejmyż nadzieję w Opatrznej potędze,
A żadnej w życiu nie doznamy nędze.

Pod Panem Jezusem Bolesnym.

Jezu Bolesny! przez Twe rany wielkie,
Uzdrów choroby w mojem ciele wszelkie,
Najbardziej duszne. Jezu Chryste Panie,
To medycyna Twe ciężkie konanie,
Boś ty na krzyżu za nas wzdychający,
Smutna jest dusza, gdy człek konający.
Niech ja koleję i cierpię za Ciebie;
Mocny Medyku, ja Cię chwalę w Niebie.

Pod Świętą Maryą Magdaleną.

Maryjo Magdaleno! przez Twe łzy pokutne,
Niech ja zmyję takiemi swe grzechy okrutne.

Niektóre z tych modlitw poetycznych nasuwają przypuszczenie, że poetka była dotknięta ciężką, nieuleczalną chorobą. Podziw i cześć budzi spokojność, z jaką los swój znosiła. Zwracając się w modłach gorących do nieba, prawie nigdy nie prosi o wyzdrowienie; myśl jej zajęta wyłącznie życiem przyszłem i śmiercią chrześcijańską.

Tym duchem tchną wszystkie następne strofy, które, pożyczając wyrażenia z ksiąg kościelnych, nazwaćby można „aktami strzelistymi.“

Pod Świętym Józefem.

Święty Józefie, Panny oblubieńcze,
Niech w krzyżach żyję, w pasyach się męczę,
Za moje grzechy Ty, mocny Patronie,
Bądź mi pociechą w mym ostatnim zgonie.

Wiktor Gomulicki.

(Dalszy ciąg nastąpi).

---

*) Tak piszą ten wyraz wszyscy ówcześni poeci.

Z nad Warty.

Jak się zdaje, z założeniem sanatoryum dla suchotników pospieszy pierwsze W. Ks. Poznańskie. W powiecie Gostyńskim, we wsi Marysinie pod Piaskami stanie najprzód takie uzdrowisko; nietylko miejscowość już obrana, ale i środki zapewnione, jak donoszą świadomi rzeczy. Dobrze robi Poznańskie, że tak energicznie zabiera się do tych uzdrowisk, bo dowiadujemy się z listów i korespondencyi dziennikarskich, że pedagogia miejscowa dosyć się stara o to, aby tym zakładom na pensyonarzach w przyszłości nie zbywało. Oto przykład tych usiłowań godny naśladowania.

W Październiku roku zeszłego do dr. Pilatowskiego z Chełmży w Prusach zachodnich zgłosiła się z dwunastoletnią córeczką swoją wyrobnica Bartoszyńska z Pluskowęs, żądając wydania świadectwa, jako dziecko jej nosiło na sobie ślady chłosty otrzymanej od nauczyciela za złe czytanie po niemiecku. Wskutek ostrych obrażeń dziewczyna zaniemogła i decyzyą inspektora szkolnego uwolnioną została z tej racyi od uczęszczania do szkoły na dni 14. Po dopełnieniu oględzin stwierdził wzmiankowany lekarz, iż plecy i ramię dziecka były sine na skutek pobicia, a jak opiewa świadectwo, w miejscach schłostanych ślady krwi pozostawały na ręku za dotknięciem. Oprócz obdukcyi lekarskiej ośmiu świadków zaprzysięgło iż widzieli to wszystko, co wspomnianem jest w świadectwie, a wreszcie i sam pedagog nie tail bynajmniej, że uderzył dziecko całą siłą kilkanaście razy.

Dosyć krotochwilnie wypadł w tej sprawie dekret sądu Toruńskiego, dekret dzisiaj już uprawomocniony, albowiem trybunał kasacyjny w Lipsku apelacyę doktora Pilatowskiego odrzucił. Otóż Salomonową mądrością natchniony sąd Toruński orzekł: Nauczyciel za *przekroczenie prawa o karach* skazany zostaje na grzywny, rozumie się małe, doktór zaś Pilatowski za wydanie *świadectwa wbrew odmiennemu przekonaniu* osądzonym zostaje na 2 miesiące więzienia.

Obecnie piszą, że sprawą tą, nie pierwszą i zapewne nie ostatnią w swoim rodzaju, zajął się z całą energią sąd honorowy lekarski w celu wystosowania do ministeryum sprawiedliwości podania zbiorowego żądającego ponownego rozpatrzenia rzeczy. Dr. Schuman i tajny radca sanitarny doktór Pauly z Poznania zadeklarowali poparcie przysięgą twierdzenia, jako doktór Pilatowski świadectwa swojego w żadnym razie nie wydawał wbrew sumieniu, ani wbrew odmiennemu przekonaniu.

Bardzo to jest piękne, wątpimy tylko, aby okazało się użytecznem, bo wogóle szkoda ludzkiego zachodu tam, gdzie treść wyroku w każdym takim i podobnym wypadku, zgóry naprzód jest wiadomą. Takie apelacye i takie żądania rewizyi robią się zawsze w myśl hasła: *Es giebt noch Richter in Berlin*! Otóż to hasło było w swoim czasie wiele warte, ale od chwili kiedy są dwie sprawiedliwości, jedna, która obowiązuje po Wogezy z jednej, a Wartę z drugiej strony, a inna, która się rozpoczyna za górami temi i nad tą rzeką, przypominanie hasła przebrzmiałego i zapomnianego jest dziecinnem wbijaniem w ambicyę, z której tamta strona na gardło całe się śmieje.

Nauczyciel ostatecznie miał racyę, bo jak *ausrotten* to *ausrotten*, a wszelkie t. z. böse Kräuter tępić najłatwiej póki jest młode, przeto zarzut zbytniej gorliwości daje się tylko do jego postąpienia przystosować, a nie jakieś gwałty i przemoce, o które go zapewne *„verdammte Polakei“* pomawia. Nie wróżymy też, co do nas przynajmniej, żadnego pomyślnego rezultatu z tej krzątaniny.

Wobec takiego nastroju całej społeczności niemieckiej, nader dziwnym przedstawia nam się pomysł narzucania temu duchowo tak wrogo usposobionego narodowi prób naszej literatury w przekładach niemieckich. Oto świeżo dr. Alfred Nossig objąwszy redakcyę dodatku literackiego do Berlińskiej „Nordeutsche Allgemeine Zeitung“ ogłasza w nim często artykuły o literaturze polskiej. Znalazła się i zdolna tłómaczka przyswajająca społeczeństwu niemieckiemu w dobrych przekładach celniejsze utwory naszej belletrystyki współczesnej. Podpisuje się ta osoba nazwiskiem Heleny Majdańskiej. Jej pióra są przekłady utworów drobniejszych Sienkiewicza, jak: „Wyrok Zeusa,“ „Ta trzecia,“ „Latarnik,“ a obecnie ukazała się w języku niemieckim nowelka Władysława Łozińskiego p. t. „Das Marienbild von Busowiska.” P. Nossig doradza utalentowanej tłómaczce, władającej, jak się pokazuje, wybornie językiem niemieckim, aby zapoznała świat tamtejszy z utworami Konopnickiej i Zygmunta Kaczkowskiego. Co do Konopnickiej niechaj będzie zgoda, ale ośmielilibyśmy się porobić pewne zastrzeżenia odnośnie do możliwości przekładu na języki obce wogóle powieści Kaczkowskiego, nb. przekładu, któryby wartością nie odbiegał znowu zbytecznie od oryginału, a właśnie z tym znakomitym talentem literackim nie jest to wcale łatwem do osiągnięcia, jeśli wogóle jest możebnem. Nieledwie równoważnego Kaczkowskiemu talentu potrzebaby na to, aby w mowie obcej odtworzyć taki koloryt epoki, jak tego w języku naszym dokonał nieprówmany autor „Braci ślubnych,“ „Murdeliona,“ „Grobu Nieczui,“ „Anuncyaty“ i tylu istotnych skarbów naszej literatury powieściowej. A tu należałoby i to wziąść w rachunek, że wogóle duchowi narodu niemieckiego obyczaj nasz jest prawie w równym stopniu niezrozumiałym, jak niezrozumiałym okazałby się język archaiczny, którym my lubujemy się czytając, a który w niemieckim przekładzie wyjśćby mógł wprost karykaturalnie. Zresztą nie przesądzamy, nie znając talentu tej pani, kryjącej się pod pseudonymem, ale niechaj nam się nie dziwi nikt, gdy wyznamy, że przesięwzięcie wydaje nam się wysoce ryzykownem.

To są względy dotyczące strony artystycznej utworów naszych pisarzy w przekładach obcych, o którą nam oczywiście bardzo chodzić powinno, o wiele jednak ważniejszym winien być wzgląd, który co do samej myśli zaznajomienia niemca dzisiejszego z naszem piśmiennictwem, zdradza chyba dosyć optymistyczne zapatrywania. Nie wątpimy wcale, że naród niemiecki przyjdzie do opamiętania, że kiedyś gorzko żałować będzie karty niesławnej, którą w historyi swojej zapisał ostatnimi czasy, póki to wszakże nie nastąpi, wysuwanie się nasze naprzód, zaofiarowywanie mu naszej myśli i naszego dorobku intellektualnego, wydawać się musi koniecznie nie na miejscu.

A jak surowo sądzić umieją Niemcy dzisiejsze narody inne—jaką wybredną mają ci ludzie etykę w sprawach politycznych, gdy roztrząsają metodę przyjętą przez Europę dzisiejszą w traktowaniu plemion podbitych w innych częściach świata. W czerwcowym naprzykład numerze „Neue Deutsche Rundschau” ogłasza pracę pióra p. Gundaccar de Suttner p. t. „Dzieło cywilizacyi europejskiej.“ Jakież to tam szlachetne oburzenie tryska z tych kart, jaki to jaskrawy obraz zbrodni popełnianych w Afryce w imię cywilizacyi przez kolonizatorów współczesnych. Wszyscy zdaniem p. A. G. Suttner idą śladami Stanleya. Nic dla ludzkości—nic dla idei — jedynym celem jest gromadzenie jak najszybsze milionów i t. d., i t. d.

I wystawcież sobie czytelnicy szanowni, o Kamerunie ani słowa, ani wzmianki jednej!

Do IX-go kongresu lekarzy i przyrodników polskich czyni komitet krakowski energiczne przygotowania. Zjazd naznaczony na połowę Lipca zapowiada się bardzo licznie, a treść obrad budzi wielkie zainteresowanie nietylko między lekarzami, ale i wśród szerokich kół publiczności naszej. Zajmująca dziś cały świat cywilizowany kampania naukowa przeciw gruźlicy, będzie głównym przedmiotem i na zjeździe krakowskim także, rozumie się w oświetleniu ostatnich badań w tej gałęzi nauki lekarskiej i z uwzględnieniem naglących potrzeb każdej z prowincyi. Połączona ze zjazdem wystawa przyrodniczo-lekarska przedstawiać ma wszystko, co zostaje w związku z dzisiejszym stanem wiedzy przyrodniczej i sztuki lekarskiej.

R.

KILKA CYFR

ze statystyki m. Warszawy.

(opracowanie p. Witolda Załęskiego).

W mniemaniu, że rozrost wraz z niektórymi objawami towarzyszącymi przeobrażeniu naszego miasta, żywo interesuje każdego z czytelników „Tygodnika,“ podajemy w tem miejscu kilka cyfr, z których przedewszystkiem o postępie Warszawy pod względem hygienicznym dojść można do wniosków dosyć pocieszających. Że zaś wzięcie jakiegokolwiek miasta odosobnionego nie daje pojęcia o stosunku jego rozwoju do ulepszeń zaprowadzanych w innych wielkich ogniskach Europy, dodamy tutaj nieco odpowiedniej statystyki obcej, dostarczonej nam również za staraniem wspomnianego w tytule autora.

A najprzód, aby sobie wyrobić przybliżone chociaż pojęcie o skali rozrostu Warszawy w ostatnich czasach, weźmiemy początek roku bieżącego i koniec upłynionego, które nam

objaśnią dwie następujące cyfry. W dniu 1 Stycznia 1899 roku liczyła Warszawa ludności 645,848 — pod tąż datą 1900 wyliczono 686,010 głów, co przedstawia roczny przyrost zaludnienia o 40,162 mieszkańców. Jestto niewątpliwie napływ olbrzymi. Aby się przekonać czy równomiernie z nim idzie rozwój warunków zdrowotnych, zastanówmy się najprzód nad cyframi śmiertelności Warszawy w przebiegu kilku dziesiątków lat ostatnich.

Na 1,000 ludności wypadało w okresach:

od 1864	do	1869	r.	śmierci	44,49
„ 1873	„	1882	„	„	37,56
„ 1883	„	1892	„	„	26,83
„ 1889	„	1898	„	„	24,49

W roku minionym mieliśmy na 1,000 mieszkańców tylko *21,49* wypadków śmierci, co jak sprawdzimy, z tabelką zamieszczoną poniżej, stawia nas w rzędzie wielkich miast Europy, posiadających warunki zdrowotności jeśli nie najlepsze, to średnie w każdym razie. Oto tabela, o której mówimy.

Na 1,000 mieszkańców umiera:

w Amsterdamie	15,3
„ Frankfurcie nad M.	16,7
„ Hamburgu	17,4
„ Bernie	17,9
„ Genewie	18,4
„ Berlinie	18,8
„ Edynburgu	19,—
„ Londynie	19,2
„ Lyonie	19,4
„ Dreznie	19,5
„ Kopenhadze	20,—
„ Paryżu	20,1
„ Lipsku	20,1
„ Wiedniu	20,7
„ Budapeszcie	22,3
„ Filadelfii	22,3
„ Kolonii	23,—
„ Neapolu	23,4
„ Monachium	23,5
„ Sztockholmie	24 3
„ Lwowie	24,8
„ Wrocławiu	25,2
„ Moskwie	26,8
„ Tryeście	27,7
„ Marsylii	28,2
„ Petersburgu	20,9
„ Krakowie	34,3
„ Kairze	37,2
„ Odessie	49,7

Co do wieku, w którym śmiertelność zabiera ofiar najwięcej, powiedzieć wypada, że dotyka ona przedewszystkiem dzieci do lat 5-ciu, i tych jest w statystyce śmiertelności warszawskiej ogółem biorąc połowa. Po dzieciach do lat 5-ciu umierało najwięcej w okresie dziesięciolecia od 1899 do 1898 r. między rokiem życia:

61 a 70	całej	sumy	7,91%	czyli	1,097
51 — 60	„	„	7,18%	„	996
71 — 80	„	„	6,24%	„	866
41 — 50	„	„	5,70%	„	791
31 — 40	„	„	5,28%	„	733
21 — 30	„	„	4,99%	„	692
11 — 20	„	„	3,56%	„	494
5 — 10	„	„	2,55%	„	355
81—100	„	„	2,20%	„	305

Wraz z postępem bakteryologii, coraz więcej chorób zaliczonych bywa do rzędu zakaźnych, to też zaliczając w tej rubryce nietylko błonicę, tyfus, choroby wysypkowe, ale również zapalenia płuc, raka i t. p., dowiadujemy się, że ta kategorya cierpień zabrała Warszawie w roku 1899 83% całej śmiertelności. Śmiercią gwałtowną umarło w tym samym roku ogółem 251 osób, w liczbie których samobójstw było 89.

Aby sobie wyrobić przybliżone pojęcie o stopniu niebezpieczeństwa w rozmaitych chorobach, notujemy, że w tym samym roku wypadków śmierci dał:

Nieżyt kiszek 2,086—zapalenie płuc 1,902—gruźlica płuc 1,479 — uwiąd schyłkowy 834—wady organiczne serca 622—zapalenie mózgu 457—rak 417—gruźlica mózgu 918 — szkarlatyna 370—niedorozwój dziecięcy 353—zapalenie nerek 348—odra 343—zapalenie chroniczne oskrzeli 293.

A teraz od najsmutniejszej przejdziemy do najweselszej ze statystyk, mianowicie do ilości zawieranych małżeństw pod względem wieku stron i pozycyi, w jakich u nas w roku 1899 wstępowano w ten stan, uważany mimo wszystkiego, jeśli nie za najszczęśliwszy, to pożądany w każdym razie. Otóż co do tego rok 1899 był zaledwie średnim. Zawarto w nim ogółem 6,308 małżeństw, co wynosi 10 ślubów na 1,000 mieszkańców.

Co zaś do stosunku wieku współmałżonków znajdujemy cyfry takie:

a) Związków, w których oboje małżonkowie byli tego samego wieku, albo różnica między niemi nie przenosiła lat 5-ciu, liczy się 29,89% czyli 43 w przybliżeniu.

b) Związków, w których mężczyzna starszym był od kobiety o więcej niż 5 lat—54,74% czyli przeszło połowa.

c) Związków, w których kobieta była starszą od mężczyzny o więcej niż 5 lat było 15,35% czyli blizko 1/4 ogólnej liczby.

Najwięcej kobiet wstępujących w związek małżeński było w wieku od 21 do 25 lat (zgórą 1/4). Najwięcej mężczyzn także między rokiem 21 a 25 (1/3 całej sumy). Wchodzą już tu w rachunek i małżeństwa żydowskie, które, jak wiadomo, są bardzo wczesne.

Co do stanu cywilnego było między zaślubionemi więcej panien (93% całej sumy) niż kawalerów (89 % całej sumy), ale za to prawie dwa razy więcej wdowców niż wdów, co nie wiele zaszczytu zdaje się przynosić dzisiejszemu mężczyźnie, stwierdzając, że jeśli mężczyzna po pierwszej próbie gotów jest jeszcze do rekapitulacyi—kobieta wbrew przeciwnie, ma tej próby zupełnie dosyć. Tak samo rozwiedzionych mężczyzn żeniło się więcej niżli szło za mąż rozwiedzionych kobiet.

PISANKA

książka zbiorowa pod redakcyą

Józefa Jankowskiego.

Jest coś w istocie wydawnictwa zbiorowego, co nigdy nie przestanie budzić interesu i zaciekawienia publiczności czytającej. Różnorodność pomysłów, formy, właściwości wreszcie indywidualnych tych, co się na takie aglomeraty literackie składają—wszystko to razem nęci i pobudza, zwłaszcza gdy znajdą się imiona rozstrzygające o poczytności. Nie brak imion takich na kartach „Pisanki,” nie brak i innych, które choć drugorzędnego tylko używają rozgłosu, pożądane są i serdecznie przyjmowane czy się ukazują w tomie własnym, na szpaltach pisma peryodycznego, albo w wydawnictwie zbiorowem. Znajdujemy tutaj:

Poezye Konopnickiej, Kazimierza Glińskiego, Andrzeja Niemojewskiego, Gustawa Daniłowskiego, Felicyana, Pileckiego, Langego, Ignacego Balińskiego, Józefa Jankowskiego, Or-Ota, Nowińskiego, Wolskiego i wielu bardzo sympatycznych i cenionych poetów naszych. Są między ich utworami i takie, które czytelnicy „Tygodnika” spotykali już w jego łamach, a do takich liczymy fragment Konopnickiej „Z Hiobowych pieśni“ i Edwarda Słońskiego wiersz zatytułowany „W słońcu.” Wspominamy o tem ze względu, że utwory takie acz znane, a może dlatego że znane, tembardziej pożądanem robią wydawnictwo, które je dla siebie pozyskało, zanim się kiedyś w przyszłych osobnych zbiorach poetyckich ukażą. Prócz tego postarali się wydawcy o jedną jeszcze dla abonentów swoich przynętę, za którą uważamy dołączanie do każdej poezyi i każdego artykułu podobizny jego autora.

Z prozy znajdujemy krótsze prace treści pedagogicznej pióra pp. Floryana Łagowskiego i Stefana Gębarskiego, nowelki Zacharyasiewicza, Chmurkowskiego, Ostrowskiego Stanisława, obrazek sceniczny w jednej odsłonie Czempińskiego, zresztą fragmenty, aforyzmy i przypowieści zastosowane do formy publikacyi.

Przewagę w tym zbiorze dano w każdym razie poezyi i części illustracyjnej, reprezentowanej w „Pisance” przez dwadzieścia kilka rysunków naszych powszechnie znanych i cenionych artystów. Znajdujemy między nimi prace Alchimowicza, Pawliszaka, Piątkowskiego, Badowskiego, Jaroszyńskiego, Wiesiołowskiej, Betleya, Masłowskiego i innych, których nam krótkość sprawozdania naszego wymienić w tem miejscu nie pozwala.

W szczególny sposób przemawiają po latach podobne zbiorowe wydawnictwa, a to, co je z czasem robi najcenniejszemi, to imiona wsławione następnie, które tutaj składały pierwociny natchnień swoich młodzieńczych. Ileż to myśli nasunąć może każdemu kilkanaście skromniutkich noworoczników wydanych przed 1830 i po 1840 roku. Cała niemal treść momentu staje odciśnięta wyraźnie przed czytelnikiem, któremu nie zbywa na kluczu do zdecyfrowania nastroju i tła umysłowości

ówczesnej. Tu nazwisko ongi znane, które nie usprawiedliwiła następnie wziętość literacka szersza—gdzieindziej skromna próbka nie zapowiadająca bynajmniej potężnego polotu późniejszego, owdzie zapowiedź niepospolitego talentu, który śmierć podcięła w samym początku—tyle, tyle cennego materyału, który potrzebę wydawnictw zbiorowych najwymowniej stwierdza. A przytem jest na dnie samego pomysłu jakaś dążność zrzeszania się—jakieś wpółuświadomione *viribus unitis*, które na wszelkich obszarach duchowej działalności ludzkiej bywa niezmiernego znaczenia i zawsze pomyślnej wróżby.

T. M.

A. S.

KLĄTWA.

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA.

I.

— Proszę pana doktora, numer 18 zrobił znowu w nocy awanturę z Józefem.

— Trzeba mnie było obudzić. Na czemże się ta awantura skończyła?

— Józef ma oko podbite i chce dzisiaj podziękować za miejsce.

— A chora z pod 7-go?

— Niespokojna była przez całą noc.

— Trzeba mię było zawiadomić—jakże jest teraz?

— Śpi chyba.

— Chyba, to nie ma dla mnie żadnego znaczenia.

— Mogę iść zobaczyć.

— Wstaję i idę natychmiast sam.

— Chciałem pana doktora uprzedzić, że 18-ty w tej swojej szarpaninie z Józefem skaleczył się trochę w rękę.

— Aha! Skaleczył się — zapewne sam—prawda?

— Józef powiada, że sam.

— Józef. A cóż pan powiadasz?

— Nie byłem przy początku.

— Jednem słowem bili się. Bił się chory cherlak z chłopem zdrowym i silnym jak zwierz, a ten zdrowy jest nadto posługaczem szpitalnym. Piękna sprawa! Niema, panie Sochaczewski obrony dla Józefa, ale niema jej nadewszystko dla pana. Ani jedna noc nie przejdzie bez wypadku, ile razy dyżur na pana przypadnie.

— Cóż ja winien jestem? Staram się wiele możności, ale kto upilnuje waryata! Przeklęte miejsce!—wolałbym kamienie tłuc na szosy. Dziś jeszcze poproszę o mój rachunek i jak tylko pan dyrektor przyjdzie...

— Radzę szczerze — zrób to pan sam, bo w przeciwnym razie ja pana będę musiał wyręczyć. Dokuczył mi już niedozór pański, a i całe obejście się z chorymi od dawnego czasu jest dla mnie podejrzanem.

Strofowany spoglądał z podełba na mówiącego i nie zadawał sobie pracy, aby ukryć swój niedobry, szyderczy uśmiech, który przy rudych, kędzierzawych włosach, twarzy piegami okrytej i wielce charakterystycznym nosie, robił go całkiem antypatycznym. Zastał tego człowieka w lecznicy młody doktór, zastał wraz z nim całą pożałowania godną metodę obchodzenia się z cierpiącymi, i od początku samego walczył nadaremnie na swojem drugorzędnem stanowisku, które zajmował, z przyjętym w zakładzie trybem postępowania, poczynając od przewodniczącego i przedsiębiorców, a skończywszy na podrzędnych organach, to jest dozorujących wszelkiego stopnia. Zakład utrzymywany był wyłącznie jako interes; jeśli robiono tam jakiekolwiek ulepszenia, to tylko dla oka ludzkiego, nie było tedy nic dziwnego, że niedawno dyplomowany, a pełen szczerego zapału dla specyalności swojej młody lekarz, dochodził przy każdem nowem dostrzeżonem nadużyciu do istotnego rozdrażnienia. Poczucie własnej bezsilności zaostrzonem było nadto mizernem uposażeniem i zupełnym brakiem widoków na przyszłość. Po raz niewiadomo który robił sobie właśnie postanowienie porzucenia raz na zawsze tego trudu syzyfowego, gdy po trzykrotnem dosyć śmiałem zapukaniu, otwarły się drzwi i jakiś młody chłopiec starannie uczesany, a z powierzchowności wyglądający na kantorzystę lub fryzyera, zjawił się w pokoju.

W mniemaniu, że to będzie ktoś z interesantów zakładu, zwrócił się dr. Werner do wchodzącego z grzecznem zapytaniem zwykłem w takich razach.

— Czem panu mogę służyć?

— Pan Czupurkiewicz przysyła mnie, aby przypomnieć panu dobrodziejowi, że dwie pierwsze raty zostały wniesione w terminie, ale trzy następne zalegają i...

— Proszę powiedzieć, że ja tam będę dziś w godzinach popołudniowych — odpowiedział dr. Werner, który przy dojmująco przykrem wrażeniu, jakie na nim zrobiły te odwiedziny, zapomniał zupełnie o obecności w pokoju felczera Sochaczewskiego. Ten ostatni uradowany niezmiernie dywersyą, która mu w osobie krawieckiego czeladnika przybywała, wcisnął się wedle sił we framugę przy piecu, aby dosłuchać do końca, i gdyby się dało, pożytek wyciągnąć z tego dla siebie. Mógł przyznać, że tym razem trafił bardzo pomyślnie, bo rozmowa wcale skończoną nie była.

— Pan Czupurkiewicz, kazał mi powiedzieć — mówił ów poseł, który w myśl danej mu instrukcyi, coraz więcej nabierał rezonu—że on już miał takich obietnic kilka, a po żadnej z nich o pieniądzach nie było mowy, i że dzisiejsze zawiadomienie jego jest ostatniem...

— Dobrze — skoro jest ostatnie, niechajże się nie przedłuża i teraz...

— Pan Czupurkiewicz oddaje sprawę adwokatowi.

— A choćby i dyabłu samemu nawet oddał—przerwał rozdrażniony dłużnik, który powstał w tej chwili z miejsca i przy tym dopiero ruchu ostatnim spostrzegł, że upokarzająca rozmowa miała świadka—w dodatku takiego świadka, którego wtajemniczenie było mu szczególnie dotkliwem. To też podczas gdy poseł krawca wynosił się pospiesznie, dr. Werner nie panując nad sobą, zawołał podniesionym głosem:

— A pan ciągle jeszcze tutaj — czego nareszcie chcesz odemnie, bo nierozumiem doprawdy!

— Ja czekałem na dyspozycye pana doktora, a że przypadkiem przyszedł tutaj ten grubijanin, to może i lepiej, że się tak stało. Pan doktór nie potrzebuje brać sobie do głowy takie bagatelne sprawy, bo to jest naród podły; to takie chamy zwyczajne, a jeśli pan doktór pozwoli i jedno tylko małe słówko powie, to cały ambaras za pięć minut będzie skończony.

— Nie rozumiem zupełnie o co chodzi — o jakich chamach pan mówisz — jaki ambaras—jakim sposobem ma się skończyć i przez kogo?

— Niech pan doktór nie będzie gniewny — mówił półgłosem, niby poufnie, bliżej podchodząc nieproszony powiernik—ja pójdę do niego, do tego Czupurkiewicza i zamknę mu gębę odrazu. On tu przyjdzie i jeszcze będzie przepraszać, i będzie stać przy drzwiach z czapką w ręku. Grubijanin jeden!

Zapanowało krótkie milczenie, w ciągu którego pan Sochaczewski daremnie starał się odgadnąć, jakiem było wrażenie, które propozycyą swoją wywołał. Tłumaczył je sobie nawet w naiwności swojej zupełnie opacznie, bo rumieniec na twarzy młodego lekarza wziął za oznakę żywego zadowolenia, a jego milczenie za zwyczajną nieśmiałość, na której usłużny pośrednik budował sobie już w tej chwili przyszłe korzyści, a przedewszystkiem upragnioną w sprawach służbowych bezkarność. To też można sobie wystawić jego zdumienie, gdy oprzytomniały już po pierwszem pomieszaniu Dr. Werner, odezwał się do niego zimnym, choć niby grzecznym tonem:

— Tak, teraz zrozumiałem. Za uczynność dziękuję panu, ale z niej skorzystać nie mogę. Zobowiązania moje zwykłem spłacać sam, a pożyczek nie zaciągam nigdy.

— Proszę pana doktora, to jest bagatelka—to niema nawet mówić o czem...

— To też nie mówmy—i nie powracajmy do tej sprawy nigdy—uważasz panie Sochaczewski—nigdy!

Tym razem odprawa stawała się jasną i stanowczą. Nie było wszakże czasu na rozmyślania nad jej skutkami, bo dr. Werner dokończał właśnie ubrania — dokończał go prawie że automatycznie, ale był przytem szczególnie nieswój i rozgorączkowany. Nakoniec spojrzał raz jeszcze na zegarek, otarł kapelusz rękawem paltota, i biorąc za klamkę rzucił swemu pomocnikowi codzienne stereotypowe:

— Idziemy do chorych!

Jeśli wstęp nie zapowiadał nic dobrego, za to ciąg dalszy okazał się nad wszelkie przewidywania pomyślnym, doktór bowiem był nietylko roztargnionym dzisiaj, ale prawie zupełnie nie panował nad sobą. Sprawdzał dyrektorskie i własne ordynacye nie dodając do nich nic nowego, chorych wypytywał szablonową szpitalną metodą, a nawet ten 18-ty numer, którego rękę nader pobieżnie opatrzył, nie zatrzymał go dłużej przy sobie. O śledztwie zdawało się, że zapomniał całkowicie.

(Dalszy ciąg nastąpi).

KRONIKA.

Rozporządzenia pośmiertne i dary dobroczynne.

Ofiara morderczego zamachu na drodze żelaznej ś. p. Zofia Wołodkowiczowa pozostawiła w sądzie krakowskim testament z dnia 14 Grudnia 1898 r., który unieważniając wszystkie jej poprzednie akta w tym rodzaju poczynione, ustanawia spadkobiercami swego majątku instytucye i osoby jak wykazano poniżej:

Po spieniężeniu realności położonych w Krakowie, z osiągniętej ze sprzedaży sumy zapisuje 130.000 złotych reńskich Siostrom Służebniczkom, pozostałą zaś sumą rozporządza w ten sposób: a) $^{3}/_{15}$ Siostrom Nazaretankom — b) $^{2}/_{15}$ Stowarzyszeniu nauczycielek pod przewodnictwem p. Żeleńskiej—c) $^{3}/_{15}$ na budowę schroniska dla nauczycielek — d) $^{2}/_{15}$ dla zakładu wychowawczego Dzieciątka Jezus—e) $^{2}/_{15}$ Instytucyi imienia Bolesława Wołodkowicza w celu budowania tanich domów dla robotników katolickich — f) $^{1}/_{15}$ zakładowi staruszek na Blichu — g) $^{1}/_{15}$ na bezpłatne obiady u Sióstr Felicyanek dla uczniów katolickich — h) $^{1}/_{15}$ na jednorazowe dary miłosierdzia do rozporządzenia ks. biskupa krakowskiego—i) $^{2}/_{15}$ Zgromadzeniu OO. Zmartwychwstańców, a ewentualnie $^{1}/_{7}$ część na zakład brata Alberta. Prywatne swe akcye cukrowni na Podolu zapisała Zgromadzeniu Sióstr Felicyanek i Sióstr Miłosierdzia. Egzekutorem tego testamentu podpisanego przez d-ra Stanisława Tomkowicza i d-ra Bronisława Olearskiego mianowała ś. p. zmarła księdza biskupa Pelczara.

W dniu 28 Czerwca r. b. w kancelaryi rejenta Landau zeznanym został przez sukcesorów ś. p. Ignacego Regelmana akt darowizny sumy rs. 9,300 ulokowanej na nieruchomości nr. 975 A w Warszawie na rzecz Towarzystwa Hygienicznego, z przeznaczeniem jej na projektowane u nas sanatoryum dla suchotników.

Rada miejska dobroczynności publicznej w Warszawie na ostatniem posiedzeniu swojem postanowiła przyjąć darowiznę rs. 2,000 zawartą w akcie Piotra Malinowskiego, Anny Kośmińskiej i innych, dla uczczenia pamięci d-ra Stanisława Kondratowiczą, z przeznaczeniem tej kwoty na rzecz kasy wsparcia podupadłych lekarzy oraz pozostałych po nich wdów i sierot. Zastrzeżone są warunki wymienione w akcie darowizny, równie jak zachowanie praw osób trzecich.

Kolonie letnie.

W dniu 28 Czerwca powróciła pierwsza serya wysłanych do Wesołówki dziewcząt w liczbie 60, a w dniu 2 Lipca wyruszyła tamże partya druga w tejże samej ilości. W dniu 29 Czerwca opuściło Warszawę dziewcząt 20, które drogą Wiedeńską udały się do Sannik na pobyt sześciotygodniowy. Kolonia ta utrzymywana jest wyłącznie kosztem pp. Natansonów. Ogółem biorąc wyprawiło dotąd Towarzystwo na wieś i do Ciechocinka dzieci obojej płci 1,095.

Wskutek odbytej konkurencyi, komitet Towarzystwa kolonij letnich na posiedzeniu, które miało miejsce w dniu 25 Czerwca postanowił budowę dwóch kolonii w Szczawinie oddać firmie Bevensee za ryczałtową sumę rs. 59,000. Budowa cała w myśl warunków kontraktu ukończoną być ma najpóźniej na dzień 25 Maja 1901 roku, w lecie zatem roku przyszłego w ciągu trzech sezonów czterotygodniowych znajdzie schronienie w Szczawinie 720 dzieci. Członek komitetu radca budowlany p. Edward Lilpop, wraz z współudziałem dwóch innych członków, decydować będzie we wszystkich ewentualnych kwestyach spornych i wątpliwościach odnoszących się do budowy tego domu.

W duchu czasu.

Czytamy w „Prawdzie:"

„P. Franciszek Kruczkowski w Galicyi pod Złoczewem zorganizował teatr chłopski złożony z 15 kobiet i mężczyzn. Trupa ta występowała już podobno z powodzeniem w kilku miastach. Obecnie będzie przedstawienia swoje dawała we Lwowie."

Jakkolwiek nie jest dosyć wyraźnie powiedzianem czy teatr złożony jest z włościan płci obojej, czy też przeznaczony dla włościan, musimy się domyśleć, że mowa jest chyba o teatrze, do którego personel zrekrutowano z ludu wiejskiego dla uciechy miast, w przeciwnym bowiem razie, trupa taka nie produkowałaby się we Lwowie, a tułała po wsiach i miasteczkach, jak wszystkie wogóle teatrzyki wędrowne.

Bardzo to jednakże ekscentryczny pomysł po tylu pokuszeniach bałamucących głowy ciemne, takie odrywanie pracowników rolnych i w tym jeszcze kierunku. Czy to ma być dla ich pożytku, czy gwoli zabawy publiczności głodnej wrażeń, czy dla tak zwanego dobra sztuki—nieodgadujemy zupełnie.

Że takie towarzystwo nie może pod względem zawodowym wytworzyć nic innego tylko smutną parodyę widowiska scenicznego, o tem prawdopodobnie nie wątpi nikt, ale idzie nam o to, gdzie każe iść członkom jego impresario, gdy publiczność będzie już miała dosyć tej szopki.

Wskazówki i rady.

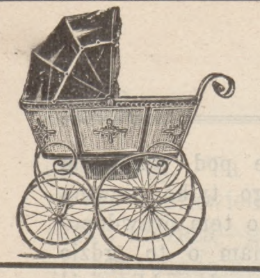
Własności i oznaki dobroci jarzyn.

Jarzyny liściaste. Do jarzyn liściastych należą wszystkie prawie gatunki kapusty, szpinak i sałata. Zawierają wprawdzie małą ilość białka, jak np. szparagi, lecz za to w skład ich wchodzą różne inne substancye, nadające im wartość pożywną. Tak kapusta jak sałata nie należy do jarzyn strawnych, z powodu włóknistych swych cząstek a zwłaszcza pierwsza z nich, gdyż po większej części bardzo tłusto przyrządzaną bywa. Pod względem strawności przewyższa te jarzyny szpinak, który dobrze przyprawiony dość jest nawet posilny; a pierwsze miejsce zajmują kalafiory, które są tak strawne, że je nawet rekonwalescentom w małej ilości podawać można. Przy zakupywaniu jarzyn liściastych należy zwrócić uwagę, aby liście były świeże, delikatne, zielone, a nie żółtawe, plamiste lub zczerniałe. Jarzyna o twardym liściu będzie zwykle niesmaczna; kruchość zaś i delikatność łatwo poznać można przy naciśnięciu palcem. To są cechy ogólne, poniżej podajemy sposoby poznawania dobroci jarzyn poszczególe.

Kapusta zwykła biała. Powinna mieć główki ściśle białe, średniej wielkości, liście o drobnych delikatnych żyłkach; letnie gatunki są najlepsze tak do kwaszenia, jak do gotowania; zimowa do kwaszenia niezdatna. (d. c. n.)

Lucyna Ćwierczakiewiczowa.

Do numeru dzisiejszego dołącza się dodatek z modami.



TOWARZYSTWO AKCYJNE

WŁ. GOSTYŃSKI i S-KA

Posiada na składzie w wielkim wyborze: **Łóżka żelazne** od najtańszych do ozdobnych stylowych, **Materace, Umywalnie, Lodownie, Klozety, Wózki dziecinne, Wanny. Meble żelazne, Ławki ogrodowe, Piece najnowszej konstrukcyj.**

Sprzedaż detaliczna **w Warszawie:** MAGAZYN FABRYCZNY **na Wierzbowej № 3,** SKŁAD FABRYCZNY **na Mokotowskiej № 3; w Łodzi:** MAGAZYN FABRYCZNY—**Piotrkowska № 81.**

Sprzedaż hurtowa w Fabryce: **Mokotowska №. 3**

MAGAZYN MÓD

B. Zielińskiej

17. CHMIELNA 17.

poleca kapelusze damskie najświeższych fasonów podług zagranicznych modeli, gustownie wykonane po cenach umiarkowanych.



Vin de Saint-Raphaël

rekomenduje się jako toniczne, wzmacniające.

Broszura d-ra de BARRE. o winie St. Raphaël jako o pożywnym, wzmacniającym wysyła się na żądanie.

Smak jego jest wyśmienity.

Konserwuje się sposobem Pasteura.

Ostrzega się przeciw podrabianiom.



Compagnie du Vin de Saint-Raphaël
Valence, Drome, France.

Polecamy! Nowo otworzony

Skład Nici

Waleryi Podkowińskiej

Krakowskie Przedmieście № 14.

SKŁAD WYROBÓW LNIANYCH I BAWEŁNIANYCH

Fr. Tomaszkiewicz

Długoletni współpr. firmy Żyrardów

w Warszawie (Krakowskie-Przedmieście № 64), Gmach Resursy Obywatelskiej,

poleca:

Płótna Bielefeldzkie, Żyrardowskie, Jarosławskie i Włościańskie Prześcieradła płócienne i bawełniane, Chustki do nosa, Ręczniki, Bielizna stołowa, Madapolamy, Victorya, Kołdry watowe i pikowe, Drylichy na materace, Wyroby pończosznicze, Wielki wybór firanek i t. p. 2043

Biuro Rekomendacyjne

GRETILLAT

10. Niecała 10.

rekomenduje nauczycieli, nauczycielki francuzki, niemki, freblówki, bony, polki gospodynie, panny służące, kasyerki, bufetowe. 2098

NOWO-OTWORZONY 2034

Magazyn wyrobów srebrnych i złotych

S. SUKERT

Bielańska N. 9, Hotel Paryzki, w Warszawie

poleca srebra stołowe, cukiernice, papierośnice i t. p. oraz srebrną i złotą biżuteryę, przyjmuje obstalunki i reperacyę.

Przyjechawszy z Paryża otworzyłem

Zakład artystyczno-fotograficzny

przy ul. Bielańskiej 18

pod firmą

P. LEVIN

Robota staranna i akuratna.

Uczącym się rabat 2061

BLECHSCHMIDT Szewc przeniósł się z Nowego Światu

na CHMIELNĄ № 31

2050 **(Hotel Royal)**

Poleca się względom Sz. Publiczności.

GRONKIEWICZ

Kaucyonowane Biuro Rekomendacyjne

Załatwia wszelkie czynności w zakres biura wchodzące. **DZIAŁ DAMSKI** prowadzony bardzo starannie. **Czysta N-r 6.** Telefonu 1758.

S. HISZPAŃSKI

SZEWC 2047

Od 1 Lipca tylko

Erywańska №. 16.

ZOFJA KRAKÓW

Z PARYŻA

KAPELUSZE, NOWOŚCI.

4. Czysta 4. 2046

SZANOWNE PANIE

uprasżam o zwiedzenie nowo-otworzonego magazynu mód **Maryi Anieli Szafrańskiej**

Marszałkowska gmach Tow. Rossya.

Obuwie wykwintne Damskie i Męskie

fasony wiedeńskie

à la Renaissance!!...

fasony paryskie

GABRIELLE CARMEN BAROA

w Warszawie, Nowy-Swiat N-r 43.

Gazeta Polska

WIELKI ORGAN POLITYCZNY, SPOŁECZNY i LITERACKI.

Adres: Warszawa, ulica Warecka № 14.

Każdy prenumerator „Gazety Polskiej" otrzymuje, jako bezpłatny do niej dodatek, co tydzień książkę, czyli corocznie **52** tomy książek bezpłatnie.

W roku bieżącym wyszły w Dodatkach książkowych do „Gazety Polskiej" utwory: **Henryka Rzewuskiego, Klemensa Junoszy, Karola Szajnochy, A. Chleboradzkiego, Baronowej Suttner, Piotra Margueritte** i t. d.

Najbliższe dodatki:

H. Rzewuskiego: „Zamek Krakowski."

W. Kosiakiewicza nowa powieść: **„Rick i Rock."**

Cena „Gazety Polskiej" wraz z bezpłatnym Dodatkiem 52 tomów książek rocznie:

w Warszawie:		Z przesyłką pocztową:	
Rocznie	rb. 9,60	Rocznie	rb. 12
Półrocznie	„ 4,80	Półrocznie	„ 6
Kwartalnie	„ 2,40	Kwartalnie	„ 3
Miesięcznie	„ —,80		

Adres: Warszawa, Warecka № 14.

Redaktor i Wydawca **Jan Gadomski.**

Chambres Garnies

„NATIONAL"

róg Nowego-Światu, **Książęca № 4.** Telefon 771.

Nowo-otworzone 40 pokojów elegancko umeblowane, położone w najlepszym punkcie miasta. **Numera duże, pościel wykwintna,** usługa dobra, ceny przystępne, od kop. 85 do 4 rubli na dobę. Kawa, herbata, obiady, kąpiele w miejscu, kareta na pociągi.
Obiady gospodarskie—na miejscu. 2088

Ekrany, Parawany, Słupy, Stalugi do nut, Biurka damskie, Etażery, Stoliki fantazyjne, Szafki „Secession," Gobeliny ręcznie malowane i haftowane, Majoliki i t. p.

polecają

Sobol & Reiss

Warszawa. Nowo-Senatorska № 9. 2069

Nagrodzony najwyższemi nagrodami na wszystkich wystawach

ZAKŁAD ORTOPEDYCZNY

Maurycego ERLICH

ucznia **Mathieugo** w Paryżu, prostowanie wszelkich skrzywień kostnych stosownemi aparatami ze wskazówką pp. lekarzy. Zakład egzystuje przeszło lat dwadzieścia i powołuje się na najpierwsze miejscowe powagi lekarskie. 89

Chmielna 32.

Zmiana adresu

Magazyn Zegarmistrza W. GRABAU

egzystujący od 1873 roku 2055
przeniesiony został na ulicę **Nowy-Świat 57.**

154

Zakład Ogrodniczy

W. GARNUSZEWSKIEGO

Krakowskie-Przedm. N-r 5

poleca wszelkie wyroby w zakres specyalności wchodzące.

Ogrody własne w MOKOTOWIE, Kolonia N-r 6 C.

BIURO NAUCZYCIELSKIE

pierwszorzędne

JASIŃSKIEJ

WŁODZIMIERSKA 19.

Ma do umieszczenia Nauczycieli, Nauczycielki i Bony różnych narodowości. 2041

Magazyn Paryskiej Galanteryi

SKÓRZANEJ

„al. Ville de Paris"



(Maroquinerie Parisienne).

Albumy, Portfele, Woreczki, Portmonetki, Nessesery i t. p.

Marszałkowska 132. 2035

KAUCIONOWANE BIURO NAUCZYCIELSKIE

profesorowej CLAVEL

w Warszawie, Warecka 10

poleca:

Nauczycieli, Nauczycielki, Wychowawczynie i Bony.

Korespondencye z Francyą, Szwajcaryą, Niemcami i Anglią. 139

Dr. A. BUCKIEWICZ

Z dziedziny chorób

NERKOWYCH.

I. Odkrycie istoty **choroby skrofulicznej.** II. **Wysypki skórne,** jako wczesne objawy zapalenia nerek; III. Odręczny rozbiór moczu na **białko.** 2096

Kop. 30, Markami 32. Hoża 38.

Pracownia Sukien i Okryć Damskich.

Kamilli WAYDEL

Aleja Jerozolimska № 31,

wykonywa powierzone jej roboty starannie i prędko, **po cenach umiarkowanych.**

Dozw. przez Urz. lek. za N. 337 na ogól. zas. handl.



PUDER IRIS

nieszkodliwy,

dostać można w składach aptecznych i perfumeryjnych, prawdziwy tylko w blaszanem opakowaniu z podpisem **H. Lachs.** Pudełko kop. 15. 30 i 50.

Główny Skład Solna № 9.

190

Дозволено Цензурою. Варшава, 20 Іюня 1900 г. Redaktor **Jan Skiwski.** **DODATEK.**

Wydawnictwo i druk Warszawskiego Towarzystwa Akcyjnego Artystyczno-Wydawniczego.